



Misjonarze Kombonianie

4 (177)

LIP-SIE 2023

KATOLICKI DWUMIESIĘCZNIK MISYJNY

W Domu Ojca Mego



RÓŻANIEC MISYJNY

KOLOR BIAŁY SYMBOLIZUJE EUROPE. Przesuwając białe paciorki różańca, prosimy, aby na tym kontynencie nie zabrakło ludzi, którzy na nowo będą odkrywać światło Ewangelii i z wiarą i odwagą będą się nim dzielić z innymi. Za Janem Pawłem II modlimy się:

*Matko Boża, spraw, byśmy służyli bliźniemu,
otwierali się na potrzebujących, wprowadzali pokój
i z zapamiętaniem budowali świat bardziej sprawiedliwy.*



Drodzy Czytelnicy,

Serdecznie Was zachęcam do lektury kolejnego numeru naszego czasopisma. Tym razem zapraszam Was szczególnie na ukochany kontynent św. Daniela Comboniego, czyli do Afryki. Najpierw odwiedzimy Rwandę. Wielu z nas kraj ten kojarzy z okrutnym konfliktem pomiędzy plemionami Hutu i Tutsi, który wybuchł w 1994 r. Obecnie – na znak jedności narodowej – niektórzy przedstawiciele obu plemion mieszkają w tak zwanych „wioskach pojednania”. W ten sposób chcą pokazać, że pokój i braterstwo, pomimo różnic i bolesnej przeszłości, są możliwe. Z Rwandy przeniesiemy się do Ghany, gdzie włoski kombonianin ojciec Giuseppe Rabbiosi otworzył dom i szkołę dla dzieci z niepełnosprawnością, z trudnościami żywioowymi oraz dla dzieci, które straciły rodziców lub zostały porzucone.

A na koniec odwiedzimy Ugandę, by zobaczyć, jak wygląda ceremonia małżeństwa wśród plemienia Aczoli.

Mam wielką nadzieję, że lektura naszego czasopisma jeszcze bardziej przybliży Was, Kochani, do misji, której częścią wszyscy jesteśmy. Życzę Wam spokojnych i bezpiecznych wakacji, na których jednak nie może zabraknąć czasu dla Pana Boga i modlitwy za misjonarzy.



PAPIESKIE INTENCJE MODLITEWNE

LIPIEC Módlmy się, aby katolicy stawiali w centrum swojego życia celebrację Eucharystii, która głęboko przemienia relacje międzyludzkie i otwiera na spotkanie z Bogiem oraz braćmi.

SIERPIEŃ Módlmy się, aby Światowe Dni Młodzieży w Lizbonie pomogły młodym ludziom wyruszać w drogę i dawać świadectwo Ewangelii własnym życiem.

3 SŁOWEM WSTĘPU

br. Tomek Basiński MCCJ

4 WIADOMOŚCI

Krótkie informacje ze świata

6 ZAŁOŻYCIELE

Święty Eugeniusz de Mazenod dr Ewa Gniady

8 RWANDA

Wioski pojednania Carla Fibla Garcia-Sala

13 BIBLIA I MISJE

Strzeżcie się... o. Rafał Leszczyński MCCJ

14 GHANA

W Domu Ojca Mego

Javier Sánchez Salcedo

20 DIALOG MIĘDZYRELIGIJNY

Santeria, czyli „Droga Świętych”

Ewelina Gwóźdź, ŚMK

22 UGANDA

Małżeństwa wśród Aczoli

Irene Lamun

25 ŚWIECCY MISJONARZE KOMBONIANIE

Zaufaj i skocz Marzena Gibek, ŚMK

26 MŁODZI I MISJE

Święty Daniel Comboni – misjonarz wielkich marzeń o. Paweł Opióła MCCJ

Powołanie to służenie sercem

o. Jacob Muia

30 TAKIE JEST ŻYCIE

Być zawsze sobą dr Ewa Gniady

Na okładce: Dzieci z In My Father's House, Ghana (fot. Javier Sánchez Salcedo)

WYDAWCA

MISJONARZE KOMBONIANIE

ul. Skośna 4

30-383 KRAKÓW

tel. 12 262 34 68

kombonianie.redakcja@post.pl

nr konta: Pekao SA

56 1240 6074 1111 0000 4989 3999

ISSN 1231-6628

Redaktor naczelny

br. Tomasz Basiński MCCJ

braciszek.tomek@gmail.com

Zespół redakcyjny

dr Ewa Gniady

o. Paweł Opióła MCCJ

o. Rafał Leszczyński MCCJ

Współpracują

Ewelina Gwóźdź ŚMK

Sylwester Laskowski

Aleksandra Rutyna

Świeccy Misjonarze Kombonianie

Mundo Negro (Hiszpania)

southworld.net

Druk

Drukarnia Beltrani

www.drukarniabeltrani.pl



AFRYKA

KOŚCIÓŁ NADAL ODGRYWA KLUCZOWĄ ROLĘ W EDUKACJI



„Od samego początku pojawienia się chrześcijaństwa na Czarnym Lądzie Kościół był głównym nauczycielem miejscowych ludów” – wskazał kard. Fridolin Ambongo, metropolita Kinszasy, który uczestniczył w rzymskim spotkaniu promującym Afrykański Pakt Edukacyjny zainicjowany przez papieża Franciszka. Celem tego paktu jest wzmocnienie szkolnictwa na kontynencie afrykańskim, ze szczególnym uwzględnieniem wkładu Kościoła.

Kardynał Ambongo podkreślił, że w Demokratycznej Republice Konga Kościół nadal pozostaje głównym organizatorem edukacji. Jednak, żeby mogła ona dobrze funkcjonować, niezbędna jest faktyczna, a nie tylko teoretyczna współpraca z państwem. „Współpraca pomiędzy państwem i Kościołem trwa nadal, ale nie przeznaczają się na to dość środków. Teoretycznie rzecz biorąc, współpraca pomiędzy tymi dwoma instytucjami jest niemalże idealna. Jesteśmy chyba jedynym krajem, który w tej sprawie ma podpisane i wdrożone umowy. Ale jeśli spojrzymy na jakość proponowanego nauczania, mamy sporo wątpliwości. Cieszymy się, że edukacja jest darmowa, ale państwo musi podjąć odpowiednie kroki, aby była ona również na odpowiednim poziomie. Muszą powstać nowe budynki szkolne, trzeba zapewnić im odpowiednią infrastrukturę, a także zatrudnić nowych nauczycieli, bo liczba uczniów stale rośnie. I nauczyciele muszą być dobrze opłacani, aby mieli silniejszą motywację. Bo jeśli brakuje środków, to same dobre chęci

nie wystarczą, a mogą wręcz doprowadzić do rozkładu systemu szkolnictwa.

Również w sąsiedniej Rwandzie szkolnictwo prowadzone przez Kościół cieszy się dużym uznaniem. Tam jednak musi się ono zmagać z konsekwencjami ludobójstwa, w wyniku którego zginęło 800 tys. ludzi. Wiele dzieci było naocznymi świadkami mordów. I choć od tej zbrodni minęło już niemal 30 lat, to jednak rwandyjskie społeczeństwo wciąż jest nią naznaczone. Szkoła musi uczyć pojednania i otwarcia na drugiego – mówił kard. Antoine Kambanda. – Szkolnictwo katolickie w Rwandzie jest wysoce cenione, zwłaszcza ze względu na jakość nauczania. Z tego względu państwo powierza Kościołowi prowadzenie szkół publicznych. Początkowo państwu zależało przede wszystkim na tym, by wszystkie dzieci chodziły do szkoły. Teraz jednak widzi, że to nie wystarczy, że trzeba zadbać o odpowiednią jakość. I państwo liczy w tym na pomoc Kościołów. Tym bardziej, że zdaje sobie sprawę, że placówki chrześcijańskie mają swoją specyfikę, wychowują do określonych wartości. Jest to bardzo ważne w takim społeczeństwie jak nasze, które doświadczyło konfliktów. W różnych sporach, na wojnie czy podczas ludobójstwa wszystko jest trywializowane. Wartości moralne przestają się liczyć. Dlatego młodzi, którzy wzrastają w takim społeczeństwie, potrzebują wychowania do odpowiednich wartości”.

VATICAN NEWS



PORTUGALIA

RODZINA KOMBONIAŃSKA NA ŚWIATOWYCH DNIACH MŁODZIEŻY

W dniach od 1 do 6 sierpnia br. odbędą się w Lizbonie Światowe Dni Młodzieży. Z tej okazji papież Franciszek spotka się z młodymi katolikami z całego świata. Już od wielu miesięcy grupy młodych ludzi w różnych krajach przygotowują się do tego wielkiego wydarzenia, biorąc udział w katechezach, których tematy koncentrują się wokół postaci Maryi. Szukają także wsparcia ekonomicznego na opłacenie kosztów podróży do stolicy Portugalii.



Rodzina komboniańska również będzie obecna na ŚDM wraz z World Youth Comboni Gathering (WYCG), inicjatywą, która w Portugalii zgromadzi młodzież podążającą za Jezusem w stylu św. Daniela Comboniego. Wcześniej (26-31 lipca) ponad stu dwudziestu młodych ludzi (w wieku od 14 do 30 lat) z Europy, Afryki i Ameryki, związanych z kombonianami, zgromadzi się w portugalskim mieście Maia, aby wysłuchać świadectw misjonarzy i uczestniczyć w zajęciach i aktywnościach dotyczących tematu międzykulturowości i powszechnego braterstwa.

Papież Franciszek w swoim orędziu na tegoroczne ŚDM napisał: „Drodzy młodzi, marzę o tym, byście podczas ŚDM mogli na nowo doświadczyć radości spotkania z Bogiem oraz z braćmi i siostrami. Po długim okresie rozłąki i izolacji – z Bożą pomocą – odkryjemy w Lizbonie radość braterskiego uścisku pomiędzy narodami i pokoleniami, uścisku pojednania i pokoju, uścisku nowego misyjnego braterstwa! Niech Duch Święty rozpali w waszych sercach pragnienie powstania i radość wspólnego wędrowania w stylu synodalnym, odrzucając fałszywe granice. Czas na powstanie jest teraz! Powstańmy w pośpiechu! I jak Maryja nieśmy w sobie Jezusa, by głosić Go wszystkim! W tym pięknym okresie waszego życia idźcie naprzód i nie odkładajcie tego, co Duch może w was dokonać! Z serca błogostawię waszym marzeniom i waszej drodze”.

OPR. REDAKCJA

WATYKAN

POWOŁANO KOMISJĘ DS. NOWYCH MĘCZENNIKÓW

Papież ustanowił Komisję ds. Nowych Męczenników – Świadków Wiary. Będzie ona działać przy Dykasterii Spraw Kanonizacyjnych i ma sporządzić katalog tych, którzy przelali swą krew za Chrystusa i Ewangelię w nowym tysiącleciu, zarówno katolików, jak i chrześcijan innych wyznań.

W liście, którym ustanawia tę komisję, Franciszek zastrzega, że w ten sposób nie zmienia on warunków oficjalnego uznania męczeństwa. Celem nowej instytucji jest prowadzenie badań historycznych i gromadzenie świadectw, aby pamięć o męczennikach była skarbem wspólnoty chrześcijańskiej.

Papież przyznaje, że inicjatywa ta jest związana z Jubileuszem 2025 i ma być kontynuacją podobnych badań, które zainicjował Jan Paweł II przed Wielkim Jubileuszem roku 2000. Franciszek cytuje apel świętego Papieża, który w liście Tertio millennio adveniente, polecił zrobić wszystko, co możliwe, aby dziedzictwo wielkiej rzeszy nieznanych bojowników w wielkiej Bożej sprawie nie zostało zatraczone. Podczas Wielkiego Jubileuszu ich świadectwo zostało uczczone ekumenicznym nabożeństwem w Koloseum. Franciszek zapowiada, że podobne zgromadzenie jest też przewidziane w roku 2025.

Papież podkreśla, że męczennicy są świadkami nadziei wypływającej z wiary w Chrystusa i zachęcają do prawdziwej miłości. Nadzieja utwierdza nas w głębokim przekonaniu, że dobro jest silniejsze od zła, ponieważ Bóg w Chrystusie zwyciężył grzech i śmierć. Franciszek przypomina, że męczennicy towarzyszyli życiu Kościoła w każdej epoce. Co więcej, obecnie jest ich więcej niż w pierwszych wiekach chrześcijaństwa. Również w naszych czasach – pisze Papież – chrześcijanie nadal ukazują żywotność chrztu, który łączy wszystkich wyznawców Chrystusa. Niemało jest bowiem tych, którzy choć są świadomi grożących im niebezpieczeństw, manifestują swą wiarę lub biorą udział w niedzielnej Eucharystii. Inni giną, ponieważ udzielają pomocy ubogim, promują pokój i moc przebaczenia. Jeszcze inni są cichymi ofiarami wstrząsów historii. Jesteśmy dłużnikami ich wszystkich i nie możemy o nich zapomnieć – podkreśla na zakończenie Franciszek. Wyraża też przekonanie, że w świecie, w którym wydaje się dominować zło, opracowanie katalogu nowych męczenników pomoże chrześcijanom odczytywać nasze czasy w świetle paschalnym, a ich wierność Chrystusowi zainspiruje nas w życiu i czynieniu dobra.



VATICAN NEWS



Święty Eugeniusz de Mazenod

Założyciel Zgromadzenia Misjonarzy Oblatów Maryi Niepokalanej (OMI)

Eugeniusz de Mazenod przyszedł na świat 1 sierpnia 1782 r. we francuskim mieście Aix w rodzinie arystokratycznej. W wieku sześciu lat rozpoczął naukę w prestiżowym Królewskim Kolegium Burbońskim. Był tam zaledwie dwa lata, ponieważ rewolucja francuska zmusiła go do opuszczenia kraju.

Najpierw schronił się w Nicei, a następnie przeniósł do Turynu, gdzie pod opieką dalszej rodziny kontynuował naukę w Kolegium Szlacheckim barnabitów. Z czasem armia rewolucyjna zaczęła zbliżać się do Turynu i wtedy Eugeniusz zmuszony był uciekać dalej. W maju 1794 r. udał się do Wenecji, potem do Ne-

apolu i Palermo. Aż wreszcie po kilkunastu latach pobytu na emigracji, w roku 1802 mógł powrócić w rodzinne strony. Jednak gdy wracał do Francji, w porcie w Marsylii nikt na niego nie czekał, nawet matka. Niestety, te wszystkie lata tułaczki spowodowały w nim kryzys wiary. Momentem zwrotnym w jego życiu był Wielki Piątek roku 1807. To wtedy się nawrócił. A owocem tego wydarzenia było podjęcie decyzji o oddaniu swojego życia na służbę Bogu i Kościołowi.

W roku 1808 wstąpił do paryskiego Seminarium Duchownego św. Sulpicjusza. Po święceniach kapłańskich, które otrzymał w wieku 29 lat, opuścił Paryż i powrócił do rodzinnego miasta Aix. Tu oddał się gorliwej służbie i ewangelizacji ubogich, więźniów i młodzieży pozbawionej dotąd opieki duszpasterskiej. Szczególną troską otaczał ludzi młodych, którym okazywał swą ojcowską miłość. Ogrom posług, jakich się podejmował, a także panująca epidemia tyfusu skrajnie go wyczerpały i spowodowały ciężką chorobę, która omal nie zakończyła się śmiercią. Ten młody kapłan, zdając sobie sprawę z wyzwań, jakie przed nim stały, zgromadził wokół siebie kilku gorliwych kapłanów, aby wspólnie nieść Ewangelię ubogim duchowo i materialnie ludziom w porewolucyjnej Francji. W taki oto sposób w roku 1816 powstała wspólnota Misjonarzy Prowansji, której głównym zadaniem było głoszenie misji parafialnych. Po dziesięciu latach została ona zatwierdzona





przez Stolicę Apostolską pod nazwą Zgromadzenia Misjonarzy Oblatów Najświętszej i Niepokalanej Panny Maryi lub w wersji skróconej oblatów Maryi Niepokalanej.

Ksiądz Eugeniusz de Mazenod otrzymał sakrę biskupią w roku 1832, a pięć lat później mianowano go biskupem Marsylii. Jego apostołski zapał porównywano do tego, jakim odznaczał się św. Paweł Apostoł. Jako biskup starał się zawsze być blisko swoich wiernych, zwłaszcza ubogich, natomiast jako przełożony oblatów obejmował swą troską ludzi opuszczonych, żyjących w najodleglejszych zakątkach świata, posyłając do nich swoich misjonarzy. Pierwszych oblatów (4 ojców i 2 braci) wysłał w roku 1841 do Kanady, gdzie misjonarze bardzo szybko rozwinęli swoje placówki, również wśród Indian. Założone przez niego zgromadzenie z biegiem czasu rozwinęło swą działalność także w Europie, Ameryce Północnej i Środkowej oraz w Azji i Afryce.

Biskup Eugeniusz de Mazenod zmarł w wieku 79 lat. Do grona błogosławionych Kościoła katolickiego zaliczył go Paweł VI w październiku 1975 r., a Jan Paweł II włączył w poczet świętych w grudniu 1995 r.

Eugeniusz de Mazenod, wspinały kapłan i niezwykle człowiek, potrafił patrzeć na ludzi oczami Boga! Nie bez powodu nazywano go „drugim Pawłem Apostołem” o sercu „wielkim jak świat”.

Po śmierci Założyciela misjonarze oblaci rozszerzyli działalność misyjną na pozostałe kontynenty, tzn. na Australię i Oceanie oraz Amerykę Południową. Dziś są obecni w 75. krajach na całym świecie. Swoje kroki kierują ku ludziom najuboższym i najbardziej opuszczonym, i zawsze są blisko tych, którym głoszą słowo Boże. Przychodzą z pomocą tym, którzy cierpią z braku miłości, prawdy, zrozumienia, poczucia własnej wartości, pokoju serca...

Misjonarze oblaci zawierzają się macierzyńskiej opiece Maryi i w zażyłości z Nią przeżywają bóle i radości misyjnego życia. To Ona uczy ich, jak przyjmować i wypełniać wolę Bożą, by z pokorą nieść światu Chrystusa. Zewnętrznym znakiem wyróżniającym misjonarzy oblatów jest krzyż. Ten znak Bożej miłości był niezwykle bliski św. Eugeniuszowi. U stóp swego misjonarskiego krzyża redagował teksty pierwszych Konstytucji i Reguł nowo powstałego stowarzyszenia.

W swoich zapiskach zaznaczył, że właśnie ten krzyż ma być dla oblatów przypomnieniem pokory, cierpliwości, miłości, skromności oraz wszystkich innych cnót, których potrzeba do spełnienia tej świętej i wzniosłej posługi. W ten sposób oblaci krzyż, który misjonarze przyjmują w dniu wieczystych ślubów zakonnych, staje się częścią ich stroju zakonnego.

Polska Prowincja Misjonarzy Oblatów Maryi Niepokalanej powstała w 1921 r. Obecnie liczy 21 placówek rozmieszczonych po całym kraju. Ścisłe zaangażowanie oblatów w życie Kościoła umożliwia im podejmowanie pracy duszpasterskiej w powierzonych im parafiach w całej Polsce. Dzięki temu możliwe jest bycie blisko ludzi, zaangażowanie w różne dzieła ewangelizacji, a także wsparcie finansowe działań misyjnych w kraju i za granicą. Misjonarze wygłaszają kazania, rekolekcje i prowadzą misje parafialne. Z pomocą Internetu starają się dotrzeć ze Słowem Bożym do każdego. Pragną przekazywać ludziom, szczególnie młodym, miłość Pana Boga i dzielić się z nimi tym, co mają najcenniejszego, czyli swoją wiarą i świadectwem życia misyjnego. Nazywani są „specjalistami od trudnych misji”, bo im więcej napotykają trudności, tym więcej w nich zapału, żeby Jezus był tym, który prowadzi i dla kogo chcemy żyć. Szczególnym wymiarem oblackiego życia wspólnotowego jest niezwykła gościnność, gotowość do przyjęcia pielgrzyma z drogi, poczęstunku i poświęcenia mu czasu.

Dziękujemy serdecznie misjonarzom oblatom za ich gorliwą posługę. A świadectwo życia św. Eugeniusza niech nam wszystkim przypomina, że misjonarzem powinien być każdy, kto kocha Chrystusa i ma dla Niego oraz swoich bliźnich otwarte serce. Niech każdemu z nas udaje się osiągnąć ten upragniony cel. ■



Wioski pojednania

Hutu i Tutsi na znak jedności narodowej dzielą w „wioskach pojednania” przestrzeń, pracę i życie w koegzystencji, której celem jest pokazanie, że rozpoczął się nowy rozdział historii kraju.

Biura podróży poza podziwianiem goryli zamieszkujących wzgórza Rwandy oferują również zainteresowanym podróżnikom możliwość wysłuchania historii osób ocalałych z ludobójstwa. Rzecz polega na tym, że gdzieś pomiędzy przerażeniem a zdumieniem mieszkają obok siebie ofiary oraz kaci i we wspólnej spółdzielni uprawiają ziemię. Ich świadectwa, zasłyszane zarówno w wioskach odwiedzanych przez zagraniczne

delegacje przyjeżdżające tu w celu poznania doświadczeń lub wysokich rangą urzędników podczas międzynarodowych spotkań, jak i w wioskach, które nie leżą na drodze pokazowej, są stosunkowo przekonujące.

Nikt nie zapomina o 800 tys. Tutsi i Hutu, którzy stracili życie w ciągu stu dni ludobójstwa w roku 1994, nie wspominając o 300 tys. Hutu, którzy zginęli w działaniach odwetowych w roku 1996. Rany nie zo-

stały całkowicie zabliznione w trakcie koegzystencji narzuconej przez reżim Paula Kagame. Właściwie nie ma tu miejsca na spontaniczność, a opowiadane historie są naznaczone pochwałami dla rządu jedności narodowej, który „przywrócił pokój i stabilność”. Wydaje się, że rekompensuje to napięty spokój, który czuć w powietrzu w wioskach, których mieszkańcy, gdy pojawiają się osoby z zewnątrz, wydają się grać swoje role w dobrze wyćwiczonej scenie.

Uśmiechnięte kobiety Hutu i Tutsi razem robią kosze, starsi obserwują dzieci bawiące się przed drzwiami domu, a mężczyźni organizują przestrzeń, w której powtarzają to, co im się przydarzyło. Obcokrajowiec – którego serce przyśpiesza na myśl o brutalności tej historii – przed opuszczeniem tego miejsca kupuje rękodzieło, które pomaga kobietom utrzymać rodziny, a następnie podpisuje księgę gości, aby koordynator wioski mógł się udać do organizacji Prison Fellowship Rwanda (PFR), gdzie otrzyma swoją część z 50 dolarów za osobę, którą pobierają od cudzoziemców. To znacznie mniej niż trzeba zapłacić za zbliżenie się do goryli górskich.

NAUCZYCIELKA BEZ URAZY

Olive Mukantwari (46) jest dyrektorką przedszkola Best Garden, do którego codziennie uczęszcza 58 dzieci w wieku od 3 do 5 lat. Znajduje się ono w wiosce Kamazuru i ma prostą konstrukcję. Posiada dziedziniec i salki lekcyjne, w których starannie poukładano materiały szkolne. Mukantwari, która miała 17 lat, gdy straciła całą swoją rodzinę w ludobójstwie, przygotowywała się do wstąpienia do Zgromadzenia Misjonarek Królewskości Chrystusa, zakonu prowadzonego w duchowości franciszkańskiej. W relacji naznaczonej przez upływ czasu wspomina: „Straciłam rodziców i rodzeństwo, wujostwo... Mnie też próbowali złapać i torturować, ale dobry Bóg mnie uratował, to On mnie chronił. Zmieniłam ubranie i zdjęłam welon, aby się uratować. Nie wiedzieli, że to byłam ja. Zostałam sama i smutna. Miałam traumę, myślałam o dzieciach, które się rozproszyły” – opowiada Mukantwari, nie pomijając przemocy, jaką Hutu zadawali Tutsi. Stroni jednak od oficjalnej płaskiej narracji, w której pojednanie wymaga zaprzestania

rozróżniania pomiędzy grupami etnicznymi.

Mukantwari uciekając zabrała dwoje niemowląt, które straciły matki. „Nie wiedziałam, czy są to dzieci ofiar czy sprawców ludobójstwa. Próbowałam umieścić je w sierocińcu, ale sytuacja była trudna. Ostatecznie zabrałam je do domu i nadałam imiona”. Cztery lata po ludobójstwie kobieta wyszła za mąż za Hutu, który wcześniej również adoptował troje dzieci. „Życie toczy się mimo wszystko – kontynuuje. Jest wdzięczna, pomimo cierpienia

i pamięci o rodzinie, która ją wychowała, że może realizować swoje powołanie jako nauczycielka. – Jestem Tutsi, mój mąż Hutu, ale bardzo go kocham. Myślę, że jest to prawdziwe pojednanie”.

Mukantwari, która dziś prowadzi przedszkole, w której dzieci nie są etykietowane według ich pochodzenia Tutsi, Hutu czy Tua, chociaż „wszyscy wiedzą, z jakich rodzin pochodzą i kto ma ojca w więzieniu za udział w ludobójstwie”.

Kobieta uczestniczyła w sądach ludowych *gacaca* (ustanowionych





przez Rząd Jedności, aby publicznie zeznawać o tym, co wydarzyło się podczas ludobójstwa). Przekonała się, że przebaczenie jest możliwe, a urazy nie powinny przechodzić z pokolenia na pokolenie. „Mieszkam w tej wiosce od roku 2012 i jest to dobre środowisko do życia w pokoju” – podsumowuje.

MONITOROWANIE POJEDNANIA

Providence Nikwigize (46 lat) kieruje Kamazuru od roku 2017. „To przykładowa wioska, w której żyjemy, modlimy się i uczymy razem, dzielimy się wodą, jedzeniem, pomagamy sobie nawzajem, jesteśmy w tych samych spółdzielniach... Między nami nie ma żadnych różnic – mówi Nikwigize na początku rozmowy. Powołuje się również na doświadczenie sądów *gacaca*, w których była sędzią. Uważa, że były one wspólnotowym ćwiczeniem, w któ-

rym dozwolone było przebaczenie i skrucha, a mające na celu zbudowanie na nowo wspólnej teraźniejszości. – Obserwowałam wszystko i byłam przekonana, że istnieje nadzieja na to, że ludzie mogą żyć w pokoju dzięki pojednaniu”.

Aktualnie żyje pierwsze pokolenie, które nie przeżyło ludobójstwa, ale coroczne obchody i uroczystości upamiętniające tamte wydarzenia, poczynając od 7 do 14 kwietnia, kiedy rozpoczęła się masakra, są momentami, w których rozmawia się z dziećmi o tym, co się wówczas stało. „W dzielnicach i wioskach emitowane są audycje radiowe, a także realizowane są programy upamiętniające to, co kraj stracił. A co trzy miesiące organizuje się spotkania w ramach rządowej kampanii „Ndi Umunyarwanda” („Jestem Rwandyjczykiem”), ponieważ kiedy wypowiadasz to zdanie, ignorujesz fakt, że jesteś kimś innym, bo jesteś

przede wszystkim Rwandyjczykiem” – wyjaśnia Nikwigize.

Kierowniczka Kamazuru zapewnia, że w wiosce nie było oporów przed współzamieszkaniem Hutu i Tutsi, ponieważ „Rząd Rwandy nikogo nie dyskryminuje, a programy rozwojowe są skierowane do wszystkich w równym stopniu, budując domy dla biednych niezależnie od tego, czy są Hutu czy Tutsi. Wszyscy otrzymują taką samą pomoc”.

Trudna sytuacja ekonomiczna jest elementem łączącym ludność, która twierdzi, że zostawiła przeszłość za sobą i nie obawia się, że historia może się powtórzyć. „Ludobójstwo jest czymś, o czym należy pamiętać, aby pewnego dnia, kiedy nowe pokolenie nie będzie rozumiało prawdy o tym, co się stało, mogło zareagować i nie popadło w kłamstwa. Ignorowanie lub zapominanie o tym, co się wydarzyło w Rwandzie, może doprowadzić do powtórzenia



się sytuacji. Upamiętnianie ludobójstwa jest ważne, aby ponownie nie nastąpiły złe rządy, a kiedy umrzemy, nasze dzieci wiedziały, co się wtedy stało i jak tego uniknąć”.

MBYO, PRZYKŁADOWA WIOSKA

W zbudowanych w latach 2003-2004 pięćdziesięciu czterech domach w wiosce Mbyo, położonej około 45 kilometrów na południe od Kigali, mieszkają po równo Hutu i Tutsi. James, koordynator wioski, człowiek dobrze zorganizowany i nieco nieufny wobec wizyt osób z zewnątrz, mówi rzeczowo, że „w więzieniach udało się skłonić ludzi do przyznania się do zabicia swoich przyjaciół, ale rządowi udało się sprawić, że dziś żyją jak rodzina”. Dom, praca, czas wolny... życie, w którym przyzwyczajono się już do nieufnego spojrzenia tych, którzy oceniają ich z zewnątrz i zadają pyta-

nia. Mówienie o przeszłości jest częścią terapii. Jest to dobrze odrobiona lekcja, w której wciąż dźwięczą deklaracje: „Rząd nauczył nas żyć normalnie, rozmawiać o przeszłości bez strachu, choć nie chcemy rozróżniać grup etnicznych. Wszyscy bowiem jesteśmy Rwandyjczykami”.

Jacqueline Mukamana (46 lat) i Alays Mutiribambe (70 lat), Tutsi i Hutu, zasłużyli na główne role za sposób, w jaki opowiadają o swoich życiowych doświadczeniach. „Uciekłam przed ludobójstwem w okolicy Myanye. Próbowano tam dokonać ludobójstwa od roku 1992. Hutu zabili brata mojego ojca. My, Tutsi, wyjechalśmy, a kiedy powróciliśmy, Hutu byli na naszej ziemi. 7 kwietnia 1994 r. straciłam całą rodzinę żyjącą w tej okolicy. Próbowalam uciec, ale wojsko ostrzelało kościół, w którym się schroniłam. Miałam wtedy 17 lat. Uciekłam do Burundi. Wróciłam do Rwandy, gdy do władzy doszedł

Rwandyjski Front Patriotyczny (RPF, partia prezydenta Kagame) i wracał pokój” – wyjaśnia Mukamana.

Pewnego dnia kobieta, podobnie jak tysiące innych osób, otrzymała list od zabójcy swojej rodziny, który odsiadywał wyrok w więzieniu. Prosił w nim o przebaczenie i wyjaśniał, w jaki sposób ich zabił. „Poznałam go w 2008 r. Powiedział mi, gdzie są ciała moich bliskich. Wówczas mu wybaczyłam. Bardzo mi w tym pomogła modlitwa, która sprawiła, że zmieniałam zdanie i przebaczyłam. Otrzymywałam również wsparcie w grupach społecznych, w których próbowaliśmy odzyskać normalne życie po tym, co nas spotkało”.

Przed przekazaniem głosu drugiemu rozmówcy Mukamana jeszcze twardo mówi: „Jest możliwe życie z osobami, które zabiły moją rodzinę, jesteście teraz sąsiadami. To nowa Rwanda”.

Bardziej oszczędny w słowach Mutiribambe popiera wszystko, co zostało już powiedziane i mówi, że jest wdzięczny za możliwość zakończenia swoich dni w pokoju. Otoczony przez wnuki niepewnie idzie przez wioskę, podkreślając z uporem, że to oni sami zdecydowali się żyć we wspólnocie. „Duchowni przyszli do więzienia i powiedzieli nam, że powinniśmy napisać do rodzin ofiar z prośbą o przebaczenie. Na początku im nie wierzyliśmy, myśleliśmy, że to sztuczka Tutsi. Ale zrobiliśmy to, a potem zabrali nas do rodzin. Spędziłem dziewięć lat w więzieniu” – wyjaśnia i dodaje, że bał się i wstydził przyznać do tego, co zrobił. Za to, co się stało, obwinia ówczesny rząd.

NOWA RWANDA?

Celestin Ngaruyinka jest kierownikiem programów w PFR, chrześcijańskiej organizacji non-profit dla więźniów, byłych więźniów i ich rodzin, która działała w trzydziestu



okręgach i dziewięciu zakładach karnych w kraju. Organizacja ta wybudowała 683 domy w tak zwanych „wioskach pojednania”.

Pracę w Rwandzie rozpoczęli w 1995 r., kiedy rany były jeszcze otwarte, a bezpieczeństwo było jedną wielką niewiadomą. Dziś, prawie 30 lat później, przygotowują się do pomocy tysiącom więźniów, którzy wkrótce zakończą swoje wyroki i którzy w nadchodzących miesiącach powrócą do życia społecznego na wolności.

„Z powodu ludobójstwa w 1994 r. mieliśmy w Rwandzie dużą liczbę więźniów, którzy popełnili zbrodnie, bez nadziei na pozostanie przy życiu z powodu zemsty. Myśleli, że zostaną zabici i nikt ich nie wesprze. Myśleli nawet, że nie mają żadnych praw, ponieważ uznano ich za przestępców” – wyjaśnia Ngaruyinka.

Wielu więźniów w procesach ludowych nie chciało się przyznać do swoich czynów i potrzebowało intensywnego wsparcia psychospo-

łecznego, aby kontynuować walkę o swoje życie. „W roku 2003 prezydent Rwandy ułaskawił więźniów, a ci, którzy poprosili o przebaczenie i pisali listy, zostali zwolnieni. Jednak większość z nich nie miała gdzie mieszkać, ponieważ przez długi czas była rozdzielona ze swoimi rodzinami. Wstydziła się i bali powrócić do społeczności, mieli wiele problemów. Rozpoczęliśmy więc projekt «wiosek pojednania», budując jeden dom dla rodziny ocalałej z ludobójstwa obok domu zajmowanego przez sprawcę ludobójstwa i drugi dla rodziny powracającej z wygnania” – wyjaśnia Ngaruyinka. W ramach programu „Wysłuchaj mnie, ja wysłucham ciebie” wykonali pracę psychologiczną, aby przezwyciężyć gniew i strach przed spotkaniem.

Rodziny ofiar miały duży opór przed przebaczeniem, ponieważ czuły, że zdradzają swoich bliskich. Ngaruyinka wyjaśnia, że „społeczności trudno było powiedzieć, że ktoś, kto zabił twoją rodzinę, otrzy-

ma przebaczenie. Zemsta nie wchodziła w grę. Doszliśmy do wniosku, że to jedyny sposób, by nie cofnąć się do przeszłości. W dzisiejszej Rwandzie powiedzenie, że jest się Tutsi, Hutu lub Tua jest trudne, ponieważ to rozбивa społeczność. Chcę być Rwandyjczykiem i być postrzegany jako Rwandyjczyk. W nowym pokoleniu razem prowadzi się interesy i studiuje, bierze ślub... Jakie znaczenie ma ta inna «śmieciowa historia»? Zdecydowaliśmy się żyć w społeczności, która jest ponad tymi grupami etnicznymi. Nikt nie może powiedzieć, że nie należy do tej ziemi, wszyscy zasługujemy na to, by żyć razem”.

Dla Ngaruyinki mówienie o „narzuconym pojednaniu” oznacza brak chęci jego osiągnięcia i wykorzystywanie go do celów politycznych. „Pojednanie pochodzi z domu, w którym mieszkasz obok sąsiada, a po pewnym czasie zdajesz sobie sprawę, że to dobra rzecz” – podsumowuje. ■

Strzeżcie się...

Strzeżcie się, żeby was kto nie zwiódł. Wielu bowiem przyjdzie pod moim imieniem i będą mówić: Ja jestem Mesjaszem. I wielu w błąd wprowadzą. (Mt 24, 4-5)

Słowo Boże, pomimo faktu, że zostało spisane 2000 lat temu, ma to do siebie, że ciągle jest aktualne. Nie przedawnia się. Dotyczy życia ludzi z czasów Jezusa, ale w takiej samej mierze również Twojego i mojego życia. Dwadzieścia wieków później można zaobserwować wiele sytuacji, które Biblia opisuje albo przed którymi przestrzega. Dzieje się tak pewnie dlatego, że przez ten długi czas podstawowe pytania, jakie człowiek sobie zadaje, tak naprawdę się nie zmieniły i dalej poszukujemy na nie odpowiedzi. Czasem znajdujemy jakieś odpowiedzi cząstkowe, ale takiej prawdziwej, całościowej nadal nie ma.

We fragmencie Ewangelii Mateuszowej, który rozpoczyna te rozważania, znajdujemy taką przestrożę samego Pana Jezusa. Chrystus bowiem wiedział, że człowiek w poszukiwaniu szczęścia, w poszukiwaniu nieśmiertelności, będzie napotykał wielu oferujących różne recepty na owo szczęście, na bycie w pełni człowiekiem, a nawet na osiągnięcie życia wiecznego i zbawienia.

W moim misyjnym życiu często doświadczałem, jak bardzo prawdziwa jest ta wypowiedź Pana Jezusa. Przychodzi mi teraz na myśl pewne wspomnienie z Kenii. Kombonianie w tym kraju, jak zresztą prawie na wszystkich swoich misjach, pracują wśród najbardziej opuszczonych i najbardziej poszkodowanych przez niesprawiedliwości społeczne. Jak choćby w Kiberze, największym slumsie Nairobi. Mają również placówkę w slumsie zwanym Korogocho, gdzie ludzie żyją w warunkach uwłaczających ich godności.

Kiedyś, właśnie w Korogocho, siedłem odwiedzić umierającego człowieka. Przedzierałem się przez wąskie i błotniste uliczki wśród tłumu przechodniów. Do dziś pamiętam niesamowity fetor ze ścieków płynących pomiędzy glinianymi domkami. Wciąż widzę krążące nad naszymi głowami złowrogie marabuty, które mieszkają na niedalekim wysypisku śmieci, zawsze pograżonym w cuchnących oparach. Ale najbardziej utkwił mi w pamięci – spotykani prawie na każdym kroku i wydierający się wniebogłosy – pastory najprzeróżniejszych sekt, oferujący oczywiście pewne, szybkie i bezbolesne zbawienie. I pewnie, jak to przewidział Pan Jezus, wielu wprowadzili w błąd.



Stąd też tak ważne jest, aby wziąć sobie do serca tę przestrożę przytoczoną za św. Mateuszem, że jedynym przewodnikiem do zbawienia jest Jezus Chrystus, który oddał za nas życie, posłuszny woli Ojca, i założył Kościół, który ma nas prowadzić Jego śladami.

Tutaj, w naszej starej Europie, też mamy coraz większą tendencję do słuchania bardziej niż Boga ludzkich autorytetów, różnych tak zwanych charyzmatyków, uzdrowicieli, kaznodziei, nawet tych działających poza Kościołem Chrystusowym. A to często prowadzi na manowce i prawdziwym szczęściem jest, jeśli człowiek się opamięta i powraca do Chrystusa, do założonego przez Niego Kościoła.

Rozważania te chciałbym zakończyć pięknym wierszem Juliana Tuwima. Niech jego słowa będą modlitwą o ciągły powrót do Chrystusa:

*Jeszcze się kiedyś rozsmucę,
jeszcze do Ciebie powrócę, Chrystusie...
Jeszcze tak strasznie zapłaczę,
Że przez łzy Ciebie zobaczę, Chrystusie...
I taką wielką żałobą
Będę się żalił przed Tobą, Chrystusie...
Że duch mój przed Tobą klęknie
I wtedy – serce mi pęknie, Chrystusie...*

W Domu Ojca Mego

W mieście Abor, na wschodzie Ghany, organizacja *In My Father's House* (tł. W Domu Mego Ojca) realizuje projekt całonocnej opieki nad dziećmi.. Kompleks – założony w roku 2000 przez włoskiego kombonianina Giuseppe Rabbiosiego – jest obecnie domem dla 120 dzieci, a jego szkoła służy 800 uczniom z okolicy.

Pierwszą rzeczą, która najpierw rzuca się w oczy, to piękno tego miejsca. Dużą część terenu porastają palmy i drzewa mango. Natomiast drugą rzeczą jest liczba dzieci i młodych ludzi błakających się po okolicy. Jedni się bawią, inni

rozmawiają lub siedzą na krawężniku i rozmyślają o własnych sprawach. Wszystko to wygląda jak mała wioska z podłużnymi, jednopiętrowymi budynkami pomalowanymi na kremowo i niebiesko. Wewnątrz budynków znajdują się

pokoje, klasy, kuchnia, przychodnia, warsztat... Jest tam również wieża, park, promenada z dwoma altankami i kaplica poświęcona św. Daniełowi Comboniemu. Za budynkami jest ogród warzywny. A za rogiem kolejne sale lekcyjne. O tej popo-



łudniowej godzinie, kiedy światło słońca przedziera się przez gałęzie, atmosfera jest wyjątkowo spokojna pomimo prowadzonej aktywności. Kilka dziewcząt żartuje, rozwieszając świeżo wyprane koszulki. Grupa młodych mężczyzn – z których jeden trzyma dwie drewniane kule – rozmawia siedząc na starych oponach. Parę psów wyleguje się na słońcu. Dwie kobiety smażą plastry banana i manioku. W tej dziecięcej wiosce Abora, dla niektórych dzieci oazie drugiej szansy, panuje spokój.

Wszystko zaczęło się wtedy, gdy Giuseppe Rabbiosi, włoski misjonarz kombonianin, znany w Ghanie jako ojciec Joe, założył w roku 2000 orga-

nizację humanitarną In My Father's House. Jej celem było stworzenie szeregu inicjatyw w regionie Volta, w południowo-wschodniej Ghanie. Była to jego odpowiedź na określone potrzeby społeczne, ze szczególnym uwzględnieniem dzieci znajdujących się w najtrudniejszej sytuacji.

Afrykańskie dzieci są obecnie jednymi z najbardziej bezbronnych i wykorzystywanych na naszej planecie.

„Nadszedł czas, aby cała ludzka społeczność, w tym sama Afryka,

obudziła się na tę niesprawiedliwą rzeczywistość [...] i pracowała na rzecz stworzenia środowiska wzajemnej współpracy i sprawiedliwej solidarności” – napisał Rabbiosi na stronie internetowej organizacji pozarządowej, wyjaśniając motywacje stojące za projektem. Ten 75-letni kapłan zarządzanie ośrodkiem powierzył Frankowi Amenyo i Wisdomowi Seade, dwóm świeckim Ghańczykom z wiosek w pobliżu Abor.

Amenyo, ojciec czwórki dzieci, był w bliskich relacjach z misjonarzem. Poznali się podczas kursu zawodowego, kiedy Ghańczyk miał dwadzieścia lat i przygotowywał



się do kapłaństwa. Nie był jednak w stanie ukończyć studiów z powodu choroby serca, która wymagała dużych środków finansowych. Zakonnik pomógł mu ukończyć maturę i wysłał do Włoch na leczenie. Kiedy Amenyo powrócił, założyli In My Father's House. „Gdy zaczynaliśmy, mieliśmy tylko 12 tys. metrów kwadratowych ziemi i jeden budynek na własność.

Stopniowo pojawiały się bardziej ambitne plany i z czasem nabyliśmy kolejne grunty. Obecnie mamy 24 hektary”, wyjaśnia Ghańczyk. Pierwszym postawionym budynkiem była szkoła i dom dla dzieci znajdujących się w trudnej sytuacji. Następnie uruchomiono transport

przez okoliczne wioski, aby dzieci mogły uczęszczać do szkoły. „Zaczęliśmy szkołę z 17 uczniami. Dzisiaj jest ich 800”.

W zarządzaniu szkołą Amenyo współpracuje z Wisdom Seade, ojcem dwójki dzieci. Od dziesięciu lat mężczyzna jest odpowiedzialny za administrację, koordynuje szkołę i uczy ekonomii oraz biznesu w szkole średniej. „Kiedy usłyszałem o pracy, jaką wykonują ojciec Joe i Frank, przyłączyłem się, aby im pomóc, ale także tym, którzy żyją bez nadziei na przyszłość. Ojciec Joe zawsze podkreśla, że musimy być żywym świadectwem Ewangelii. Ludzie się modlą, kiedy potrzebują Boga. Musimy realizować takie projekty jak

ten, aby zapewnić, że Bóg ich słyszy i jest blisko nich”.

DZIELENIE SIĘ HISTORIAMI

Chyba najbardziej wyjątkową częścią In My Father's House jest dom dla tych, którzy mają największe trudności, czyli dla dzieci niepełnosprawnych, z rozbitych rodzin; dzieci, które straciły rodziców lub zostały porzucone. „Opowiem ci o kilku przypadkach. W tym roku przyjęliśmy czworo porzuconych dzieci. Znalezione je prawie bez oznak życia. Zawieźliśmy je do szpitala i udało się je uratować – mówi Amenyo. – Innym przypadkiem była trójka dzieci urodzonych przez tę



samą matkę, ale z różnych ojców. Matka nie mogła się nimi opiekować, a ojcowie nie chcieli się nimi zająć. Dzieci były chore i niedożywione. Po wizycie w szpitalu i otrzymaniu potrzebnego pożywienia ich stan znacznie się poprawił”.

Dzieci i młodzież ze specjalnymi potrzebami mieszkają w wiosce z innymi uczniami szkoły, których rodziny mieszkają daleko od miasta. W sumie jest ich 120. Wraz z pracownikami, którzy opiekują się nimi i ich rodzinami, tworzą społeczność liczącą 200 osób. „Dzieci, które nie mają żadnej rodziny, utrzymują bliskie relacje z pracownikami kompleksu” – dodaje Seade. Są one bardzo podatne na zagrożenia. Doświadcza-

ją trudnych procesów, a niektóre mają problemy psychologiczne. To bardzo zdrowe dla nich żyć razem i nawzajem opowiadać sobie swoje różne historie życiowe”. Ośrodek zachęca je do spędzania wakacji z rodziną, aby w miarę możliwości nie czuły się wykluczone. „Wierzimy, że wszyscy razem są bardzo szczęśliwi. Naszym celem jest umożliwienie im ukończenie szkoły i znalezienie odpowiedniego miejsca do ponownej integracji ze społeczeństwem”.

SZKOŁA

Każdego dnia około siódmej rano wioska dziecięca wita setki uczniów, którzy przybywają z domu pieszo

lub autobusem. Po wejściu do klas rozpoczynają nowy dzień.

Szkoła prowadzi naukę od pierwszych klas szkoły podstawowej do ostatnich klas szkoły średniej.

Rodziny płacą tyle, ile mogą. „Jesteśmy zadowoleni z faktu, że pomagają nam pokryć choć niewielką część pensji nauczycieli. Resztą zajmujemy się sami – mówi Seade. – Dzięki systemowi sponsoringu i stypendiów uczniowie, którzy ukończą szkołę, mają możliwość kontynuowania kształcenia zawodowego lub studiów wyższych. Szkoła po-



siada specjalny program szkolenia nauczycieli. Starsi uczniowie są wysyłani w odleglejsze miejsca, gdzie w praktyce mogą wykorzystać zdobytą wiedzę. Udają się do biednych i zaniedbanych edukacyjnie obszarów, zbyt oddalonych od ośrodków miejskich i bez nauczycieli chętnych do dojeżdżania tam. Uczniowie na praktykach pozostają przez rok. Najpierw budujemy małą chatkę, aby mogli rozpocząć zajęcia, a jeśli wszystko pójdzie gładko, budujemy prawdziwą szkołę. Po jej uruchomieniu przekazujemy ją rządowi”. Organizacja zbudowała już 75 szkół na obszarach wiejskich, a około 400 uczniów przeszło szkolenie i obecnie uczy w innych szkołach.

Oprócz edukacji ośrodek In My Father’s House prowadzi również program zdrowotny, w ramach którego zbiera fundusze na operacje dla osób z poważnymi chorobami, jak np. nowotwory czy problemy kardiologiczne. Niektóre pielęgniarki pracujące w ośrodku to były uczennice. Na zabiegi chirurgiczne każdego roku otrzymują pomoc od organizacji hiszpańskich lekarzy. Planowana jest także budowa niewielkiego ośrodka zdrowia w odległej wiosce, która podczas pory deszczowej odizolowana jest od reszty świata.

Praca, którą wykonuje In My Father’s House, jest możliwa dzięki Nella Casa del Padre Mio, siostrzanej

organizacji we Włoszech, złożonej z wolontariuszy, którzy identyfikują się z wartościami i charyzmatem kombonianów. „Zaczęło się od małej grupy rodziny i przyjaciół ks. Joego, a teraz jest głównym źródłem dochodu dla projektu” – wyjaśnia Amenyo (na zdjęciu). Aby zebrać dodatkowe fundusze i pomóc w utrzymaniu działalności w wiosce, na dostępnej im ziemi zaczęto uprawiać ryż, maniok, kukurydzę i fasolę. Założono też hodowlę kurczaków i świń. Z tego, co produkują, karmią dzieci w ośrodku i pomagają ubogim rodzinom w okolicy, dając im co miesiąc torby z jedzeniem. „Niektórzy darczyńcy z miasta przychodzą do ośrodka i przekazują nam darowi-



znych, głównie w naturze, jak choćby worek ryżu, kilka kilogramów fasoli czy cukru. Nie mamy żadnych dotacji rządowych, więc każda prywatna darowizna jest zawsze mile widziana” – dodaje Seade.

KONTYNUACJA

„Ostatecznym celem tego, co robimy, jest pragnienie, aby ludzie, którzy tu przychodzą, mogli się rozwijać i stawać się samowystarczalnymi. Jeśli nam się to uda, to znaczy, że było warto – mówi Amenyo, po czym przyznaje, że jest jedną z rzeczy, która ich bardzo martwi: to wiek o. Rabiosiego. – Czy po jego odejściu będziemy w stanie konty-

nuować tę pracę, którą prowadził przez ponad 20 lat?”. Zarówno on, jak i Seade są pewni, że projekt musi stawać się coraz bardziej autonomiczny i mniej zależny od pomocy z Włoch, jak to było do tej pory. W tym celu rozważają szereg propozycji, które mogłyby generować dochód, jak choćby rozbudowa gospodarstwa i szkoły, budowa większej liczby miejsc noclegowych dla nowych uczniów i bungalowów do wynajęcia dla pracowników pracujących w ośrodku. Chcą również sprzedawać wodę ze studni, które mają na terenie ośrodka lub wykorzystywać obiekty do prowadzenia nowych weekendowych kursów dla tych, którzy chcą poszerzać swoje

umiejętności akademickie i zawodowe, ale z powodów zawodowych nie mogą tego robić w tygodniu. „Ojciec Joe powiedział nam, że jest gotowy opuścić projekt w każdej chwili, bo czuje, że wypełnił swoją misję. I zawsze cytuję Daniela Comboniego: «Afrykę uratują Afrykańczycy». Ale my się boimy. To on jest w stałym kontakcie z dobroczyńcami w Europie, a my nie potrafimy porozumiewać się po włosku. Dla mnie przyszłość jest pełna nadziei, ale istnieją też poważne pytania. Musimy być przygotowani i dobrze zaplanować to, co może się wydarzyć. On nam ufa, a my jesteśmy zobowiązani do bycia godnymi jego zaufania” – podsumowuje Amenyo. ■



Santeria, czyli „Droga Świętych”

Za czasów hiszpańskiego imperium kolonialnego standardowym procederem było przewożenie niewolników z Afryki do Ameryki i ich przymusowe nawracanie na chrześcijaństwo. Podobnie miało być z niewolnikami z ludu Jorubów. Stała się jednak rzecz nieoczekiwana i powstała nowa religia, mieszanka tradycyjnych wierzeń afrykańskich i katolicyzmu, czyli santeria.

Jorubowie to lud zamieszkujący zachodnią część Afryki, głównie obszar Nigerii, Beninu i Togo. Charakteryzuje się bogatymi tradycjami kulturowymi i wysokim poziomem sztuki, zwłaszcza wykonywaniem rytualnych masek i ręcznie tkanych makat. Jeszcze przed okresem kolonizacji Jorubowie stworzyli cały system miast-państw zarządzanych przez wspólnotę wódzów. Ich rodzime wierzenia są tak silne, że opierają się wpływowi innych religii lub przyczyniają się do powstawania nowej religii łączącej wierzenia obu, czyli następuje synkretyzm religijny.

Tak właśnie było w przypadku santerii. Religia ta narodziła się na Karaibach, a dokładnie na Kubie, w czasie gdy kraj ten był jeszcze hiszpańską kolonią. Sprowadzeni tam jako niewolnicy Jorubowie zostali poddani przymusowej chrystianizacji, jednak ich rodzime wierzenia były tak silne, że nowa religia nie zdołała ich wyprzeć. Zaakceptowali wizerunki świętych i Maryi, odnajdując w nich istniejące w ich kulturze orisze i to im w istocie oddawali cześć. Orisze to różnorakie siły natury będące manifestacją najwyższego boga Olodumare. Później utożsamiono go z katolickim Bogiem

Ojcem. Ponieważ wyznawanie oriszów nie wyklucza uczestnictwa w obrzędach innych religii, wielu wyznawców santerii uważa się za katolików, uczestnicząc w katolickich obrzędach, ale jednocześnie oddając cześć oriszom utożsamianym z katolickimi świętymi. Stąd właśnie wzięła się nazwa santeria, od słowa „santo”, czyli święty. Orisze uważane są za pośredników pomiędzy Bogiem-Stwórcą a człowiekiem. Każdy z nich ma przypisany kolor, przedmioty kultu oraz własny zestaw rytmów wybijanych na bębnach. Każda osoba oficjalnie przynależąca do santerii ma swojego oriszę. Żeby



WIKIMEDIA / JORGE ROYAN



jednak mieć swojego świętego, należy przejść cykl rytuałów, m.in. przez rok nosić białe ubrania i przestrzegać wielu rygorystycznych zasad. W panteonie Jorubów znajduje się około 20. oriszy, z których najważniejszym jest Obatala, nazywany Panem Bieli, utożsamiany z Jezusem zmartwychwstałym. Jest opiekunem albinosów, a jego czciciele zawsze ubierają się na białe i noszą białe korale. Jest on wyjątkowym oriszą, mieszka bowiem w każdym człowieku, a konkretnie w jego kościach (są białe, a to jego ulubiony kolor). Jest to o tyle ważne, bo nie każdy orisza może „zamieszkać” w człowieku albo raczej nie każdy się na to zgadza. Oshum to orisza utożsamiana z Maryją, nazywaną „Najświętszą Panią Dobroczynności”. Jest patronką obfitości i piękna, a jej kolory to żółć i złoto. Najważniejszą oriszą, tuż po Olodumare, jest Orunla, którego później utożsamiono ze św. Franciszkiem. Energia Orunli była świadkiem narodzin kosmosu, a ona sama potrafi zaglądać w przyszłość, dlatego zna losy i przeznaczenie każdego człowieka na ziemi. Istnieje jeszcze wiele innych oriszy, które są patronami m. in. miłości i małżeństwa, czystości przedmałżeńskiej, roślin i przyrody, wulkanów, polo-

wania, mądrości i zdrowia, wiatru i zmarłych, sprawiedliwości, burzy czy śmierci.

W santerii istnieje wiele rytuałów, ale trudno znaleźć o nich informacje, gdyż są to starannie strzeżone tajemnice jej wyznawców. Wiadomo, że jest w nich wiele elementów szamanizmu, takich jak tańce do rytmicznej muzyki, mające ułatwić osiągnięcie ekstazy religijnej czy kontakt z duchami przodków. Składane są też ofiary z owoców, żywności lub zwierząt. Zadaniem santerii jest zagwarantowanie wierzącym lepszego życia jeszcze w tym świecie, a nie dopiero po śmierci. Toteż istnieją rytuały, aby rozwiązać wszelkiego typu problemy i trudności, jak chociażby te związane z życiem małżeńskim czy ze zdrowiem. Kapłan lub kapłanka santerii nazywani są Santero bądź Santera, czyli „ta/ten, który/a tworzy świętych”. Kapłani odprawiający obrzędy są jednocześnie znachorami, wróżbitami, przepowiadaczami przyszłości, znawcami zasad wiary, liturgii i rytów muzycznych.

Wszystkim uroczystościom religijnym towarzyszy nieustanny akompaniament bębnowy (batá), śpiewów i tańca. Szczęście i życiowa harmonia gwarantują wiernym

wyłącznie modlitwy, osobiste konsultacje i inne praktyki, np. składanie ofiar ze zwierząt. Santeryjskich bóstw – tak czasami nazywa się orisze – nie czci się w kościołach ani w innych miejscach kultu, ale niemal w każdym domu można znaleźć ołtarze dla duchów. Wierni spotykają się w swoich domach lub w domu kapłana, aby sprawować obrzędy ku czci świętego-oriszy.

Każdego roku zbiera się Rada Kapłanów, która zgodnie z wielowiekową tradycją pochyla się nad tajemniczymi symbolami Świętej Księgi Ifa i próbuje odczytać z niej wróżby na nadchodzący rok. Niektórzy badacze santerii powiązują ją z czarną magią, jednakże inni uznają to za bardzo niesprawiedliwe i tłumaczą, że wizja dobra i zła jest w santerii odmienna od tej chrześcijańskiej. Dla jej wyznawców najważniejsze jest dobro jednostki, a nie „dobro absolutne”.

Dane o liczbie wyznawców santerii są sporne, ponieważ oni sami nie są zainteresowani rejestracją swojej religii jako związku wyznaniowego lub często są zarejestrowani jako katolicy. Dlatego w zależności od źródeł na świecie mieszka od kilkuset tysięcy do 10 milionów wyznawców santerii, głównie na Kubie i innych wyspach karaibskich, w USA i Meksyku. W Europie ich niewielki odsetek mieszka we Francji i Holandii. Nie ma żadnych danych o wyznawcach w Polsce.

Synkretyzm religijny, zaistniały w przypadku santerii, można uznać za ciekawą „formę” ekumenizmu. W momencie gdy nie ma możliwości pokojowego współistnienia dwóch religii, gdy nie chce się stracić wyznawanej wiary, jednocześnie będąc zobligowanym do przyjęcia nowej, powstanie trzeciej religii czasem wydaje się najlepszą opcją. Zwłaszcza gdy wybiera się najpiękniejsze elementy tych religii, aby powstała trzecia. ■

Małżeństwa wśród Aczoli

Lud Aczoli zamieszkuje między innymi tereny północnej Ugandy. Posiada bogate i różnorodne dziedzictwo kulturowe, którego znaczna część wyraża się w obrzędach, tańcu i muzyce. Przyjrzyjmy się, jak wygląda małżeństwo wśród Aczoli.

Małżeństwo nadal jest jedną z największych ceremonii wśród tego plemienia. Przygotowania do tradycyjnej uroczystości mogą trwać nawet cały rok. Przed zawarciem małżeństwa strony biorące w nim udział powinny uzgodnić warunki. Zwykle cały proces zaczyna się, gdy młody człowiek wybrał już dziewczynę, która mu się podoba, i jest gotowy ją poślubić. W przeszłości mężczyźni nie mieli nic do powiedzenia w tej kwestii, to ich rodzice decydowali, którą kobietę i rodzinę ma poślubić. Młodzi ludzie nie mieli żadnej szansy na zaloty i wzajemne poznanie się, tak jak to ma miejsce dzisiaj.

Kiedy młodzieniec znajdzie już potencjalną pannę młodą, ster przejmuje jego rodzina. Sprawdza pracowitość i zdyscyplinowanie młodej damy oraz szuka rodziny, z której pochodzi. Zaczyna się małe śledztwo, aby sprawdzić, czy członkowie tejże rodziny są życzliwi i pracowici, a jeśli tak jest, kontaktują się z rodzicami dziewczyny i zgłaszają zamiar wizyty. Wówczas jej ojciec, bracia i wujowie siadają razem i sporządzają list, który określa się mianem listu oceniającego. Wskazywana jest w nim lista prezentów, które mają być wręczone podczas ceremonii tradycyjnych zaślubin. Wśród Aczoli nie ma standardowej „ceny” za pannę młodą, zależy ona od rodziny.



Oprócz prezentów należy uiścić też odpowiednią grzywnę, jeśli państwo młodzi znaleźli się w którejś z poniższych sytuacji. Jeżeli młodzieniec ma dziecko z dziewczyną przed ślubem, musi zapłacić tzw. *luk pa latin* lub *lutino*, a jeśli mieszka z nią przed ślubem, zostanie poproszony o *luk pa nyako*. Inne opłaty to *ayenya* (kiedy dziewczyna przebywa z chłopakiem bez ślubu i rodzice zastaną ją w jego domu), *obal kare* (zasilek na siedzenie) i *lapeny dog nyako* (uznanie pana młodego przez rodzinę).

Do listy prezentów koniecznych do zamążpójścia zalicza się lampę, karton z pudełkami zapalek, mydło do mycia i kąpieli, kopertę z pieniędzmi na cześć matki panny młodej, garnitur i krzesło dla ojca panny młodej, *gomesi* – czyli tkaninę dla matki panny młodej, cukier, fusy herbaciane, opłacenie przejazdu dla krewnych, którzy przybędą z daleka (*onyon coro*), dwie kozy dla ciotki ze strony ojca, dwie kozy dla wuja ze strony matki, pieniądze na uszycie sukienki dla matki panny młodej, duży rondel, kozy (w zależności od rodziny, ale nie mniej niż 10), krowy (minimum 10) oraz określoną sumę pieniędzy, która zależy od rodziny.

Gdy za mąż wychodzi księżniczka Aczoli, cena za pannę młodą znacznie wzrasta. Oprócz tego, o co zwykle się prosi, pan młody musi przynieść również skórę lamparta, koraliki, bransoletkę, włócznię i tarczę wykonaną z uszu słonia lub ekwiwalent pieniężny.

Kiedy rodzina pana młodego otrzyma list oceniający, informuje rodzinę młodej, kiedy przybędzie,



aby uiścić wszystkie wymienione opłaty. Jeśli chodzi o samą opłatę za pannę młodą, wszystko zależy od tego, czy rodzina pana młodego ma dobrego negocjatora, ponieważ cena ta w Aczoli zależy od umiejętności negocjacyjnych i pokorze wobec teściów. To bardzo delikatna sytuacja, w której łatwo można zostać odesłanym bez oblubienicy.

W dniu ślubu rodzina dziewczyny przygotowuje się na przyjęcie gości, gotując tradycyjne potrawy, wśród których znajduje się *dek ngor* (rozgnieciony groszek gołębi z masłem orzechowym i odrobiną masła *shea*), wędzone mięso w maśle orzechowym (*olel*), kurczak, *boo* (krowi groszek polany masłem orzechowym) podawane z kaszą jaglaną (*kwon kal*), batatami lub maniakiem. To wszystko podaje się z dodatkiem alkoholu i napojów bezalkoholowych.

O zachodzie słońca, kiedy przybywa orszak pana młodego, wita ich okrzyk *wayo* (ciotki panny młodej ze strony ojca) oraz pieśń. Następnie udają się do domu rodzinnego panny młodej, w którym odbędą

się negocjacje. Wszyscy goście z orszaku młodego zostają poproszeni o zdjęcie butów i ukłęknięcie, gdy będą wchodzić do domu rodzinnego młodej. Potem muszą czołgać się po ziemi, ponieważ kultura Aczoli nakazuje młodemu mężczyźnie okazywać szacunek matce-teściowej właśnie poprzez takie zachowanie. Jeśli ktoś z otoczenia pana młodego wejdzie do domu nie czołgając się, zapłaci karę pieniężną, o której zdecydują teściowie.

W domu orszak kandydata na męża siada na przygotowanych dla nich matach. W tym momencie nie wolno im jeszcze siadać na krzesłach razem z bliskimi wybranki. Ponadto oczekuje się od nich, aby nie rozglądali się po domu i siedzieli nieruchomo, nie odwracali się ani nie patrzyli w górę i w dół, by nie zostać ukaranym grzywną za brak szacunku dla teściowej. Wujowie i bracia panny młodej będą czekać w domu na pana młodego i jego ludzi, aby rozpocząć negocjacje, które mogą przeciągnąć się do późnej nocy, a nawet do wczesnych godzin rannych.



Ojciec dziewczyny nie ma nic do powiedzenia podczas całej ceremonii; siedzi i tylko patrzy, jak ludzie z jego klanu podejmują decyzję w sprawie jego córki. Również jej matka i wszystkie inne kobiety w rodzinie nie uczestniczą w negocjacjach. Po powitaniu gości oczekuje się od nich, że wyjdą, a tylko ciotka ze strony ojca będzie obecna podczas negocjacji. Po uzgodnieniu wszystkiego przez obie strony i zapłaceniu ceny za pannę młodą ciotka ta wyda okrzyk, informując w ten sposób innych członków rodziny, że uiszczono cenę za pannę młodą i można rozpocząć świętowanie.

Przez ten cały czas narzeczona przychodzi tylko po to, by powitać gości i potwierdzić, że lubi chłopaka, a wraca dopiero po zapłaceniu kwo-

ty za nią. Przed uiszczeniem kwoty za pannę młodą świta młodego jest ignorowana i nie jest częstowana ani jedzeniem, ani wodą do picia, ani żadnymi przekąskami. Wszystko się jednak zmienia po okrzykach ciotki. Wtedy rodzina młodej grzeje wodę do kąpeli dla orszaku młodego, podaje im wodę do picia, jedzenie, alkohol, napoje bezalkoholowe. Rozpoczyna się zabawa. Obydwie strony się schodzą jako rodzina. Wspólnie tańczą i śpiewają piosenki. Zabawa trwa dwa lub trzy dni, w zależności od sytuacji materialnej panny młodej. Jeśli pochodzi ona z zamożnej rodziny, to może trwać nawet dłużej. Ponieważ ciotka ze strony ojca otrzymuje kozy, oczekuje się od niej, że przygotuje jedzenie i zanieśie je orszakowi pana młodego na ucztę.

Po tym wszystkim na pannę młodą czeka kolejna ceremonia – odeślanie do domu męża. W trakcie jej trwania dziewczyna otrzymuje garnki, naczynia i inne przybory domowe, aby mogła „zbudować” nowy dom. Ciekawostką związaną z małżeństwem w kulturze Aczoli jest fakt, że mężczyzna może mieszkać z kobietą bez płacenia ceny za pannę młodą, ale jeśli ona umrze, jej rodzina nie pochowa jej dotąd, dopóki mężczyzna nie uiści tej opłaty. Tradycyjne małżeństwo Aczoli jest jednym z najdroższych w Ugandzie, co czasem odstrasza młodych mężczyzn ze względu na wygórowane ceny. Z tego powodu obecnie wśród Aczoli funkcjonuje instytucja kulturalna Rwot Kaka, która pracuje przez całą dobę, aby ułatwić zawieranie tradycyjnych małżeństw. ■

Zaufaj i skocz

Czy znasz to uczucie, że czegoś bardzo pragniesz, ale boisz się zaryzykować? A może lęk sprawia, że zaczynasz mieć wątpliwości tam, gdzie wcześniej ich nie było? Obawy zaczynają nad tobą górować i zniekształcać to, o czym marzysz. Ja to uczucie znam doskonale.

Myśl o wyjeździe na misje towarzyszyła mi przez długie lata. Kiedy w końcu trafiłam na formację do misjonarzy kombonianów, byłam zdecydowana, by wyjechać. Czy po drodze coś się stało, że zaczęłam wątpić? Absolutnie nic złego. Ale z pewnością przyszła większa świadomość, na co się decyduję. Opuszczenie bezpiecznej przystani, w której mam wszystko, czego mi potrzeba. Po co? By pójść za głosem serca. Zaufać. Zrobić ten jeden krok więcej, skoczyć...

Wyjazd na misje był dla mnie skokiem ufności w coś, czego nie znam. A przecież boimy się tego co nieznanego. Z łatwością i swobodą poruszamy się w przestrzeni naszej codzienności. Oczywiście nie ma w tym nic złego. Pytanie tylko brzmi, czy tego właśnie chcesz. Jeśli nie, to co powstrzymuje cię przed zmianą? Twój strach? A co byś zrobił, gdybyś się nie bał? Zadawałam sobie to pytanie i odpowiedź zawsze była taka sama: wyjechałabym. I tak oto teraz artykuł ten powstaje w dalekiej Kenii, w małej miejscowości Kitelakapel, do której przyjechałam tydzień temu. Nadal mi trudno uwierzyć, że to o czym tak długo marzyłam, stało się moją rzeczywistością.

Ostatni rok był dla mnie niezwykle bogaty w wydarzenia. Do Ruchu Świeckich Misjonarzy Kombonianów wstąpiłam 25 czerwca 2022r. po kilku latach formacji. I zaczął się czas ostatecznego przygotowywania do wyjazdu. Wspólnie została podjęta decyzja o miejscu mojej misji – Kenia. Dwa pierwsze miesiące 2023 r. spędziłam w Warszawie, uczestnicząc w licznych spotkaniach online z naszym międzynarodowym koordynatorem, rozmowach z innymi misjonarzami, którzy dzielili się ze mną swoimi doświadczeniami i wiedzą, szkoleniach z pierwszej pomocy, katechezach i nauce angielskiego. Marzec i kwiecień był intensywnym czasem załatwiania mnóstwa spraw związanych z wyjazdem. Potrzebne

dokumenty, szczepienia, kompletowanie walizek, zakup środków medycznych. W drugiej połowie kwietnia w rodzinnej parafii pw. Pana Jezusa Dobrego Pasterza w Krakowie zostałam posłana do pracy misyjnej w Kenii. Podczas Mszy Świętej przyjął krzyż misyjny z rąk biskupa Roberta Chrzęszcza. W trakcie homilii, nawiązując do przeczytanej Ewangelii, biskup powiedział: „Aby dobrze wypełnić swoją misję, trzeba się powtórnie



narodzić. Zrzucić pewną troskę i uprzedzenia, wejść w życie i w misję z nową mocą i z nową siłą, pozostawiając to co było daleko za sobą”.

Czym dokładnie będę się zajmować w Kitelakapel, tego jeszcze nie wiem. Przede mną nowe wyzwania, mądre rozeznawanie potrzeb tego miejsca i nauka suahili. Wiem jednak, że jako fizjoterapeutka na pewno nie będę narzekać na nadmiar czasu, gdyż pomoc takiego specjalisty jest zawsze potrzebna. Czy to, że tu jestem, oznacza, że nagle przestałam się bać? Nie. To znaczy, że nie pozwoliłam, by lęk podjął decyzję za mnie. A co noszę dzisiaj w sobie? Radość i niezwykle pokój serca. Nie wstydzę się przyznać do obaw, które mi wcześniej towarzyszyły. One nadal są częścią mnie. Ukazują to, co kocham i czego nie chcę stracić. Życie, zdrowie i wiele innych wartości. Ale jeżeli jedyną rzeczą, która powstrzymuje cię przed decyzją, jest twój strach, przyglądnij mu się, nie odrzucaj go od razu, bo może ma ci coś ważnego do powiedzenia. Ale potem zaufaj i skocz! Warto! ■

Święty Daniel Comboni – misjonarz wielkich marzeń

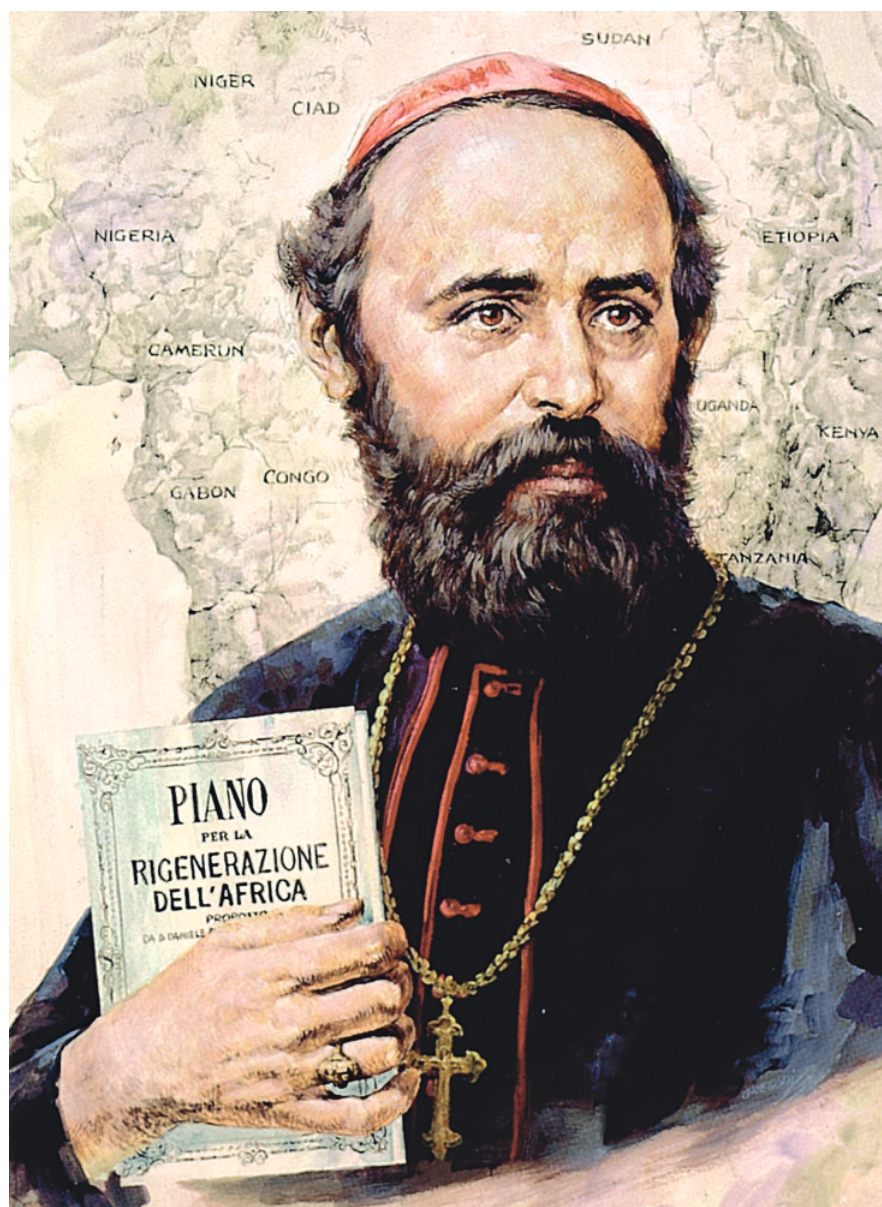
Tym razem opowiem Wam o św. Danielu Combonim, którego poznałem, gdy miałem 18 lat. Jako bardzo młody człowiek uczestniczyłem w spotkaniach misyjnych i wiele o nim słyszałem od ojców kombonianów, którzy pracowali w Polsce, oraz z publikacji, które dawali nam do czytania. Im więcej słyszałem o Combonim, tym bardziej moje serce płonęło sympatią do tego misjonarza-giganta. Pragnąłem być jak on, to znaczy mieć taką samą odwagę i tak wielkie serce, a potem wyjechać do Afryki, by tam ewangelizować i być świadkiem Jezusa. I tak oto zaczęły rodzić się we mnie marzenia misyjne i moje powołanie misyjne. Te z pozoru błahie spotkania i świadectwa misjonarzy nadały kierunek i sens mojemu życiu. Chociaż od momentu, kiedy wstąpiłem do postulatu, upłynęły już 22 lata i choć tak wiele słyszałem na temat Comboniego, to nadal czuję niedosyt, a myśli o tym, kim był i jak pracował, wciąż rozgrzewają moje serce miłością do służby ewangelizacyjnej. Comboni zapisał się na kartach historii Kościoła jako jeden z największych misjonarzy Afryki i Kościoła katolickiego na przestrzeni ponad 2000 lat chrześcijaństwa. Przez swoją odwagę, entuzjazm misyjny i co uczynił dzięki łasce Bożej, śmiało można go porównać z św. Franciszkiem Ksawerym czy nawet św. Pawłem Apostołem.

Daniel Comboni urodził się 15 marca 1831 r. na północy Włoch w malowniczej miejscowości Limone, leżącej nad przepięknym jeziorem Garda otoczonym majestatycznymi górami. Dzisiaj Limone jest

miejscowością turystyczną, pełną hoteli. Mnóstwo ludzi przyjeżdża tutaj na wakacje, by odpocząć, ale w XIX wieku tereny, które otaczały jezioro, były biedne. Ludzie głównie utrzymywali się z rybołówstwa i uprawy oliwek i cytryn. Dzisiaj wokół jeziora jest droga asfaltowa,

którą zbudowano po I wojnie światowej, a wcześniej ludzie przepławiali się małymi łódkami lub wspinali po stromych ścieżkach gór okalających jezioro Garda.

Rodzice Daniela to Luigi Comboni i Domenica Pace. Oboje byli imigrantami, którzy przybyli do Limone



w poszukiwaniu pracy. Tutaj się pobrali, osiedlili w niewielkim domku z kamienia i uprawiali oliwki oraz cytryny, pracując dla bogatego właściciela ziemskiego. Nie mieli łatwego życia. Zmagali się z wieloma trudnościami, by związać koniec z końcem. Domenica urodziła ośmioro dzieci, ale tylko Daniel doczekał się dorosłości. Jego siostry i bracia zmarli w bardzo młodym wieku z braku lekarstw i dostępu do opieki medycznej. Daniel był ich jedynym synem, na którego „przelali” całą swoją miłość i któremu przekazali głęboką wiarę.

Chłopiec był bardzo bystry. Jego proboszcz z Limone, widząc w nim nieprzeciętną inteligencję i zdolności lidera, zachęcił rodziców, aby wysłali go na dalszą naukę. Werona była dużym miastem, oddalonym o 60 km od Limone. To tam został przyjęty do szkoły założonej przez ks. Mikołaja Mazzę. Był to święty kapłan. Pragnął pomagać biednej, ale uzdolnionej młodzieży. U boku tego wielkiego człowieka rodziło się powołanie misyjne Comboniego. W szkole poznał misjonarzy, którzy wracali z Afryki i z entuzjazmem opowiadali o tym, co tam widzieli i czego doświadczyli. Wielkie wrażenie wywarło na nim świadectwo ks. Angelo Vinco, który też był wychowankiem ks. Mazzy i który już odbył kilka podróży w głąb kontynentu afrykańskiego. Młode serce Daniela zaczęło gorąć miłością do ludzi Afryki Centralnej. W ten oto sposób rodziło się jego powołanie misyjne. W wieku 18 lat, u stóp swojego mistrza duchowego ks. Mikołaja Mazzy, ślubował, że poświęci swoje życie dla ewangelizacji Nigrizi, jak wówczas nazywano Afrykę.

W Combonim najbardziej fascynuje mnie fakt, że był człowiekiem marzeń. Jego największym pragnie-



niem była Afryka, którą żarliwie pokochał i przez całe swoje życie jej służył. Widział, jak ten kontynent cierpi z powodu niewolnictwa, z braku wiary, braku edukacji i braku służby zdrowia, dlatego stworzył *Plan odrodzenia Afryki Centralnej*, który zakładał, że

Afrykańscy mają być podmiotami dobrej przemiany.

Z tego też powodu zabierał misjonarzy z Europy, czy to księży czy siostry, braci czy świeckich, by prowadzili miejscowych ludzi do wiary i uczyli różnych zwodów. Dziś nawet w najdalszych zakątkach świata, nie tylko w Afryce, Rodzina Komboniańska żyje marzeniami św. Daniela Comboniego, kontynuując jego projekt misyjny.

Święty Daniel Comboni był również człowiekiem rozeznania. Myślę, że ta cecha jest bardzo ważna dla każdego człowieka, ale przede wszystkim dla ludzi młodych, którzy pragną dobrze ukierunkować swoje życie. Comboni wkrótce po święceniach kapłańskich chciał

wyjechać na misję, ale nie było to możliwe ze względu na jego rodziców, którzy byli już w podeszłym wieku. Przez prawie trzy lata walczył sam ze sobą, nie widząc co zrobić. Opiekować się rodzicami czy wyjechać na misję? „Jeśli pozostanę z rodzicami, to będę męczennikiem do końca życia, ale jeśli pojadę na misję, to uczynię męczennikami rodziców”. Doświadczał bolesnego rozdarcia wewnętrznego. W końcu udał się na rekolekcje do Werony, do ojca Marani, który był cenionym przewodnikiem duchowym. Z zapisków Comboniego nie dowiadujemy się, na jaki temat medytował podczas tych rekolekcji, ale wiemy, że kiedy już był w drodze do Afryki w trakcie swej pierwszej podróży misyjnej w roku 1857, wysłał do rodziców zdjęcie z umieszczonym na odwrocie zdaniem z Ewangelii: „Kto kocha bardziej swego ojca lub matkę, nie jest mnie godzien” (Mt 10, 37-39). Ojciec Marani zapewnił go, że nigdy wcześniej nie widział tak wyraźnego powołania i dał mu swoje błogosławieństwo na drogę. Jego słowa były dla Comboniego światłem i zapewnieniem, że do-



konał słusznego wyboru, zgodnego z wolą Bożą.

Kochani Młodzi, być człowiekiem rozeznania to niezwykle ważna rzecz, przede wszystkim, kiedy jesteście młodymi ludźmi. Kiedy stoimy na rozdrożu dróg i nie wiemy, w którym kierunku iść. Dzisiaj mamy do dyspozycji mnóstwo uniwersytetów, kierunków, możliwości. Możemy się w tym gąszczu łatwo pogubić i wybrać coś, czego nawet nie lubimy robić. Pierwszą ważną rzeczą, którą uważam w rozeznaniu życiowej drogi, jest modlitwa do Ducha Świętego. Każdy dzień należy rozpoczynać wzywając Ducha Świętego i prosząc Go, by nas poprowadził. Druga – to pytać się i radzić ludzi mądrych, jak to zrobił Daniel Comboni, udając się do o. Marani. Trzecia – to zapytać siebie

samego, czego najbardziej pragnę? Mogę przecież mieć różne marzenia, ale jakie jest moje najgłębsze pragnienie? Kolejna sprawa to, jaki jest mój charyzmat osobisty, czyli jaki jest mój talent?

Święty Daniel Comboni miał bardzo mocną tożsamość misyjną. Wiedział, kim jest i kim chce być. Całą swoją energię ukierunkował na ewangelizację Afryki. Nic go od tego celu nie odwróciło, nawet największe trudności. Podczas 50. lat swojego życia aż 8 razy udawał się do serca Afryki. Pierwsza podróż zakończyła się porażką. Ledwo umknął śmierci z powodu wyczerpania i długich podróży przez pustynię. Wielokrotnie go posądzano i oskarżano o to, czego nie zrobił. Zazdrośni i zawistni ludzie rzucali mu kłody pod nogi, pragnąc go

zniechęcić, żeby odstąpił od podjętej drogi. On jednak nigdy się cofnął. Zawsze się podnosił i parł do przodu. Jego mocna tożsamość misyjna, ugruntowana i zakorzeniona w Bogu, była źródłem, z którego czerpał siły.

Kochani, tożsamość możemy zdefiniować jako wizję samego siebie. Postawmy zatem sobie pytanie, jaka jest moja tożsamość? Jaka jest moja wizja samego siebie, samej siebie? Kim naprawdę chcę być? Co zrobię, żeby ją budować, a może odbudować? Wiem, że są to trudne pytania, ale od nich zależy nasze szczęście i spełnienie. Niech Duch Święty i św. Daniel Comboni przyjdą nam z pomocą!

Kochani Młodzi, Daniel Comboni zmarł 10 października 1881 r. w sercu Afryki, w Chartumie, stolicy Sudanu. Miał zaledwie 50 lat. Odszedł szczęśliwy, chociaż wycieńczony pracą i trudnościami. Otoczony grupą misjonarzy, którzy ślubowali wierność aż do śmierci. I chociaż upłynęły już 142 lata od jego śmierci, to Rodzina Komboniańska wciąż żyje marzeniami swojego Założyciela, służąc w 40. krajach świata na czterech kontynentach, niosąc nadzieję i miłość najuboższym i opuszczonym tego świata.

Święty Daniel Comboni fascynuje swoją odwagą, osobowością, nieprzeciętnymi zdolnościami w relacjach międzyludzkich, duchem rozeznania, świętością życia, marzeniami misyjnymi. Niech oczaruje również Ciebie, drogi Bracie i Siostrze, jak oczarował już wielu misjonarzy i misjonek! ■



Chcesz zostać misjonarzem?

SKONTAKTUJ SIĘ:

o. Benoit Azameti MCCJ • tel. 509 058 099 • benedettoazameti@gmail.com
o. Paweł Opiola MCCJ • tel. 797 178 182 • o.pawelcomboni@gmail.com

Powołanie to służenie sercem



Jestem misjonarzem kombonianinem z Kenii. Studia teologiczne odbyłem w kongijskiej Kinszasie. Obecnie pełnię posługę misyjną w swoim kraju w parafii Świętego Krzyża. Misjonarze kombonianie pracują w Kenii od 1973 r. We wrześniu tego roku będziemy obchodzić złoty jubileusz naszej parafii.

Na początku wszystkiego musi być Bóg. Prorok Ozeasz wypowiedział słowa, które są dla mnie bardzo ważne: „Bóg wyprowadził Izraela na pustynię i przemówił do jego serca” (Oz 2, 16). Te słowa są źródłem natchnienia w poszukiwaniu Boga w moim życiu. Szczerze powiem, że do tej pory moja osobista relacja z Bogiem pomogła mi ograniczyć pewne wybory i opcje, i nadała kierunek i cel mojej miłości. Jednak nie jest ona czymś danym raz na zawsze – jest procesem, który zawsze trwa podczas modlitwy, kierownictwa duchowego, rekolekcji, seminariów, warsztatów i osobistej medytacji.

W Rodzinie Komboniańskiej poznałem misjonarzy, którzy niestrud-

dzenie poświęcają swój czas i energię dla misji. W jednym ze swoich pism Comboni napisał: „Afryka albo śmierć”. W przeszłości można to było rozumieć, że misja ewangelizacyjna jest przeznaczona tylko dla Afrykanów. Dzisiaj jednak księża z Afryki nie tylko są w stanie ewangelizować swój kontynent, ale udają się też na inne kontynenty, by głosić Dobrą Nowinę.

Na Rodzinę Komboniańską patrzą jako na dar, który przyjmują z wdzięcznością i radością. W niej chcą służyć Bogu całym sercem i oddać się na służbę ludowi Bożemu, który najbardziej potrzebuje wsparcia duchowego i materialnego. Jestem głęboko przekonany, że powołanie do życia konsekrowanego w czystości jest zaproszeniem do całkowitego oddania siebie Bogu, by żyć Jego miłością, ale też służyć potrzebującym, osobom starszym, niepełnosprawnym i najbardziej opuszczonym. Pragnę, by miłość Boża promieniowała na wszystkich, którym spotykam i będę spo-

tykał w swoim misyjnym życiu. Bo chociaż my w Afryce wielokrotnie doświadczamy głodu i cierpimy z powodu różnych braków, które by pozwalały godnie żyć, to z pewnością o wiele bardziej odczuwamy głód miłości, przyjaźni, pokoju i akceptacji.

Misjonarze kombonianie nie szukają władzy i sławy, ale angażują się we wszystko, co jest potrzebne, aby wspólnoty ludu Bożego mogły wzrastać w każdym wymiarze życia jako istoty ludzkie i jako odpowiedzialni obywatele i chrześcijanie. Bardzo ważne jest, aby każda wspólnota chrześcijańska, której pomagają, wzrastała, zakorzeniała się i stawała się samowystarczającą ekonomicznie i pastoralnie. Wierni swojemu charyzmatowi i duchowości założyciela kombonianie są całkowicie oddani pracy misyjnej Kościoła, z miłością wpatrują się w Jezusa Dobrego Pasterza i od Niego uczą się, jak być świętymi.

Stopniowo nabierałem przekonania, że Jezus, który nie przyszedł, aby Mu służyło, lecz aby służyć i dać swoje życie na okup za wielu, wzywa mnie i nas wszystkich do przyjęcia takiej samej postawy jaką On miał. I to pomogło mi zrozumieć, że aby być dobrym misjonarzem, trzeba służyć, by Kościół, czyli Mistyczne Ciało Chrystusa mogło zawsze wzrastać. Bo po to zostałem powołany!

Kochani Młodzi, pozdrawiam Was wszystkich bardzo serdecznie i zapewniam o pamięci w modlitwie. Życzę Wam, abyście zawsze mieli serca otwarte na sprawy misji ewangelizacyjnej Kościoła, bo to nas czyni szczęśliwymi, a cały świat lepszym, bardziej braterskim i bardziej ludzkim. ■

Być zawsze sobą



FREEPK.COM

Ponad dwadzieścia lat temu udałam się na swoją pierwszą w życiu rozmowę kwalifikacyjną w sprawie pracy. Byłam wówczas na piątym roku studiów, ale bardzo chciałam się już usamodzielnąć i zacząć zarabiać na swoje utrzymanie. Kiedy przybyłam na miejsce, przywitano mnie z uśmiechem i zaproszono do biura. Rozmowa trwała dość długo. Dziś już nie pamiętam jej szczegółów, ale w pamięci utkwiły mi pewne słowa przyszłego pracodawcy. „Z wyglądu jest pani bardzo podobna do naszej byłej pracownicy, osoby bardzo pogodnej i pracowitej. Myślę, że będzie się pani u nas dobrze pracowało, a i my będziemy z pani pracy zadowoleni”. Z jednej strony ucieszyłam się, że ktoś widząc mnie pierwszy raz tak od razu wierzy w moje możliwości, ale z drugiej strony bałam się, że porównana do swojej poprzedniczki nie sprostaw oczekiwaniom pracodawcy.

Wspominam o tym, Drodzy Czytelnicy, ponieważż tym razem chcę się z Wami podzielić refleksją na temat porównywania się do kogoś. Ja osobiście staram się tego nie robić i nie lubię też, kiedy ktoś mnie z kimś porównuje, ale to nie znaczy, że czasem tego nie robię. Zdarza mi się niekiedy pomyśleć, że moja koleżanka Grażyna świetnie gra na fortepianie, a ja nie. Kolega Pa-

weł biegle mówi po angielsku, a ja nie. Ania zaś jest znaną aktorką, a ja nie. Ale czy dlatego mam się czuć gorsza? Przecież umiem grać w piłkę ręczną, a Grażyna nie. Potrafię gotować, a Paweł nie potrafi. Ja jestem cierpliwa, a Ania nie. Ale czy z tych powodów mam się czuć lepsza?

Celowo podałam te przykłady, aby pokazać, że porównywanie się z kimś nie ma sensu, bo każdy z nas jest inny. Każdy ma swoją historię, inne predyspozycje, rozwija odmienne pasje, uczy się w innym tempie, ma jakieś talenty... Porównując się z drugim człowiekiem, zazwyczaj widzimy tylko małą część jego życia. To trochę tak jakbyśmy patrzyli przez dziurkę od klucza i obserwowali fragment jakiegoś obrazu. Widzimy na przykład wielką bramę pałacu i piękne, kwitnące kwiaty i chcielibyśmy koniecznie znaleźć się w tym miejscu. Wyobrażamy sobie, jak wspaniałe

byłoby życie w takim pałacu i jak cudownie pachniałyby pąki rozkwitających kwiatów. Spoglądając przez dziurkę od klucza nie możemy jednak zobaczyć, że pozostała część budynku popada w ruinę, a otaczający go ogród jest zupełnie zdziczały i zarośnięty ciernistymi krzakami.

Kiedy się z kimś porównujemy, często nie widzimy całej osoby, lecz tylko to, co wydaje się nam w niej lepsze, piękniejsze, radośniejsze, szczęśliwsze czy bardziej satysfakcjonujące. I w ten sposób zniekształcamy obraz swojego życia i niepotrzebnie tracimy wiarę w siebie i swoje możliwości.

Kochani, nie chcę być Grażynką, Pawłem czy Anią, chcę być taką Ewą, jaką mnie stworzył sam Pan Bóg! Chcę być sobą! Chcę akceptować i kochać swoje niedoskonałości, braki i cieszyć się z talentów, które posiadam. Chcę czuć się szczęśliwa taka, jaką jestem!

Kończąc tę swoją refleksję, z całego serca życzę Wam, ale również sobie, abyśmy się postarali codziennie patrzeć na siebie Bożymi oczami i zaufać, że Pan Bóg stworzył nas niepowtarzalnymi i nie ma innych takich osób na świecie jak my! A ponadto chciejmy zawsze myśleć i mówić o sobie pozytywnie. I uwierzmy w to! ■

CEGIEŁKA DLA MISJONARZA

Drodzy Przyjaciele Misji!

Tylko niektórzy wyjeżdżają na misje w dalekie zakątki świata, ale każdy z nas w intencji misjonarzy i misjonek może ofiarować modlitwę, trud swojej pracy i wszelkie cierpienia, a także pomoc materialną. Pan Bóg wybiera ludzi, którzy pozostawiają swoje domy i pokonują tysiące kilometrów, by w imieniu nas wszystkich głosić Chrystusa najbardziej biednym i opuszczonym. Misjonarze często nie mają nic więcej aniżeli serca otwarte, aby pokochać innych, i ręce gotowe do pracy. Mogą jedynie liczyć na nasze wsparcie, by móc w pełni wypełniać dzieło ewangelizacji.



**Za Wasz dar serca i nieustanną chęć dzielenia się stokrotnie dziękujemy.
Niech Wam Pan Bóg sowicie to dobro wynagradza.**

**Misjonarze Kombonianie ul. Skośna 4, 03-383 Kraków
nr konta: 56 1240 6074 1111 0000 4989 3999 z dopiskiem „Cegiełka dla misjonarza”**

CZY WIESZ, ŻE...

-  Komboniański dom rekolekcyjno-formacyjny w Krakowie otwarty jest dla wszystkich, którzy pragną przeżyć dni skupienia, rekolekcje czy choćby potrzebują noclegu.
-  Każdy, kto gości w domu misjonarzy kombonianów, ma okazję poznać i pokochać misję, ale również znajdzie czas na modlitwę i odpoczynek.



 **Misjonarze
Kombonianie**

W POLSCE

WARSZAWA

ul. Łączna 14, 03-113 Warszawa
tel. 22 676 56 28, kombonianiewa@gmail.com

KRAKÓW

ul. Skośna 4, 30-383 Kraków
tel. 12 262 34 68, kombonianie@gmail.com

www.kombonianie.pl